№ 6.

WARSZAWA

9 Lutego

1862.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr 1527.

„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Śty Emeryk.

—

W ziemi Sandomierskiéj jest wysoka góra, Łysą albo Śto-Krzyską nazywana. O téj nazwie taką opowiadają historyę. Za dawnych czasów ta góra jeszcze dzikszym niż dzisiaj porosła była lasem. Zdaleka sterczały czarne jego drzewa, ale nikt się między nie nie wpuszczał, bo i zabłądzić było łatwo, i zwierz dziki chodził tam śmiele po gęstwinie, a gdy zahuczał między drzewami, to niejednego, co niezbyt odważne miał serce, dreszcz przeszedł od stóp do głowy. Stała więc góra pustkowiem i czernił się na niéj las nietknięty. Aż za króla Polskiego Bolesława Chrobrego, za którego to żył Śty Wojciech, przyjechał do niego w odwiedziny królewicz Węgierski Emeryk. Młody ten pan niezmiernie lubił łowy, polował też od świtu do zmroku na wilki, niedźwiedzie, dziki, których pełne były wtedy lasy.

Jednego dnia puścił się ku owéj górze. Na białym dzielnym koniu wyścignął wszystkich swoich towarzyszy. Koń unosił go coraz daléj, coraz wyżéj, a las stawał się coraz gęstszy, coraz czarniejszy; niebo się zachmurzyło, wiatr zawył przeraźliwie między jodłami, koń zastrzygł uszami i stanął dęba: królewicz przerażony obejrzał się, w około było pusto i głucho. Choć odważny zadrżał przecież od trwogi, a w tém rozległ się głos jakiś w powietrzu: „Ani ty ztąd nie wyjdziesz, ani koń nie ruszy, póki nie przyrzekniesz złożyć tu, co masz najdroższego.“ Pobożny królewicz nosił zawsze przy sobie kawałek krzyża Śgo, na którym Zbawiciel nasz skonał. Nie miał nic droższego nadto, zaraz więc ślub uczynił, że jeżeli go Bóg szczęśliwie z téj trwogi wyprowadzi, to ów kawałek Najświętszego drzewa w ręce króla Polskiego, wuja swego, złoży i uprosi go, żeby na tém miejscu kościół zbudował. Ledwie tę obietnicę uczynił w sercu swojém, zaraz usłyszał trąby i rogi myśliwskie towarzyszy co go szukali, znalazł drogę, złączył się z nimi, a za powrotem do domu ślubu dopełnił. Nie odmówił prośbie jego król Bolesław, wystawił drewniany kościołek, złożył w nim ów kawałek krzyża Śgo. Stoi tam do dziś dnia nie ten sam drewniany, ale późniejszy muro-

wany kościół, a wnim ów dar najdroższy królewicza Węgierskiego Emeryka dotąd przechowany. Tysiące ludzi pielgrzymuje do tych świętych relikwii na wysokiéj górze, korząc się tam w pokorze przed Bogiem i błagając go o szczęście i o lepszą dolę dla wszystkich.

WŁOCHY.

(Czasy rewolucyi francuzkiéj.)

X.

—

Kiedy tak w Italii długi czas cicho było, i właśnie jakby spało wszystko pod Austryackiém opiekuństwem, i tylko gdzie niegdzie, a najprzód w Toskanii i w Neapolu zaczęto lepsze sądy wprowadzać i dawne srogie karania i męczeństwa znosić, wszczęła się we Francyi, w ostatnim dziesiątku wieku przeszłego, osiemnastego, to jest lat temu będzie około siedmdziesięciu, taka nadzwyczajna i niezmierna burza, że się od niéj niebawem wszystkie prawie państwa i ludy chrześcijańskie zatrzęsły. Zaprawdę stało się wtedy, jak powiedziano w psalmie: „*Potrwożyły się narody i nachyliły się królestwa*,“ bo nietylko się nachyliły, ale i całkiem poupadały; do tego rzec można, że się oto aż dzisiaj jeszcze różne ciężkie sprawy na świecie odnawiają i ruszają, co z tamtéj wielkiéj francuzkiéj rewolucyi początek swój wzięły.

Francuzkie państwo znamienite było od dawien dawna, jak to już i z téj tu naszéj historyi widzieć można; miało ono wczesną oświatę po starych Rzymianach, miast znacznych dużo, duchowieństwo gorliwe, szlachtę bitną, a lud miejski i wiejski żwawy, zmyślny i pracowity, a przytém do żołnierki pochopny i waleczny. Stał się tam wprawdzie po wielkim cesarzu Karolu nieład i rozproszenie długie, tak jak i w Italii i wszędzie, o czém się też mówiło, że się rozdzieliła Francya między mnóstwo panów i panków świeckich i duchownych, ale zawsze królewski urząd tam był. Przez parę wieków nie wiele ci królowie znaczyli; lecz za czasem tak się roztropnie i przebiegle do tego wzięli, że to duchownym świadcząc, to za miastami i wsiami przeciw panom ujmując się i z każdéj okazyi korzystając, władzę swoją i powagę wywyższali i szerzyli. Więc też powoli, czy orężem, czy przez sukcessyę i pokrewieństwa różne, albo wreszcie byle się udało, księstwa owe i hrabstwa i wszelkiéj nazwy większe i mniejsze dzielnice pod panowanie swoje królewskie zagarniali i w jedność łączyli, stanowiąc wszędzie urzędy i sądy z ramienia swego. Ztąd zrobiło się francuzkie królestwo obszerne i możne, gdzie wszystko na zawołanie królewskie służyło; a choć się tam wydarzały srogie klęski od nieprzyjaciół sąsiadów, a szczególniéj od Anglików, albo i własne domowe rozruchy i zamięszania okrutne, z różnych przyczyn, jak na przykład z różnowierstwa, to się przecież z tego Francya w końcu wydobywała, nie straciwszy jedności swojéj i była zawdy między pierwszemi potencyami. Francuzcy królowie pierwsi zaczęli duże wojska na żołdzie wciąż trzymać, a na dworze swym i w panowaniu swojém takie pozaprowadzali wspaniałe porządki, że się to wszędzie podobało i u innych monarchów przyjęło. Szlachta francuzka przywykła do królewskiéj służby polubiła dworskie zabawy, pysząc się z tego i wynosząc, a naród w miastach i we wsiach posłuszny był we wszystkiém i podatki płacił, ile go tylko stać było, choć też nieraz i głośno narzekał.

Ale już od półtora wieku prawie przed tym czasem, o którym jest mowa, zaczęły się we Francuzkiém państwie rzeczy powoli psować i zanosiło się coraz na gorsze, bo się i w jedném i w drugiém i w dziesiątém miara przebierała. Wyglądało z pozoru państwo to wspaniale i świat mu się przypatrywał, ile że Francuzi nie tylko z wojowania i z dworszczyzny słynęli, ale też w naukach i sztukach i w rzemiosłach i w fabrykach i w wymysłach różnych nikomu nie ustępowali; ale za to wewnątrz rządy i sądy i podatki, miejskie i wiejskie sprawy bardzo źle i smutno wyglądały. Od wielkich i długich wojen, które się bez racyi i potrzeby z całym światem dokoła prowadziły, a z których też dużo było sławy a mało pożytku, od prześladowań i różnych niesprawiedliwości wyniszczał kraj srodze, a podatki stały się tam ciężkie. Na królewskim dworze zbytkowano, nic na to nie zważając; panowie za tym przykładem i starsi duchowni rozrzutnie i wesoło, w stołecznem

mieście Paryżu, rozkoszowali, podatków żadnych ani ciężarów na sobie nie nosząc. Wszystko się waliło na rolnika i rzemieślnika, na kupca i fabrykanta, na tych zgoła, co z pracy ciężkiéj żyli, a jeszcze za to w poniewierce u możnych byli miani; że już tam kto z rodu pańskiego nie był, to się do żadnego znacznego urzędu nie dostał, choćby też był i uczony i zasłużony, a za krzywdy od dworskich panów, to się człek sprawiedliwości nie doprosił; wszystko tylko za protekcyą. A prawa do tego przeróżne były: dla szlachty inaksze, dla duchowieństwa osobne, a dla mieszczan znów nie takie jak dla chłopów; temu przywilej i swoboda, tamtemu uciążliwości i kłopoty, a wszędzie plątanina i długie korowody; nic się po prostu nie działo, chyba jedna tylko krzywda i niesprawiedliwość. Nie lepiej to było, prawdę mówiąc, podówczas i w wielu innych krajach, ale że francuzki naród oświeceńszy był, a po miastach osobliwie siła była ludzi co edukacyę mieli, nie gorszą od pańskiéj, to jest kupców, fabrykantów, professorów, doktorów, prawników i urzędników mniejszych, co te rzeczy rozumieli, jakby to być powinno, i uczonych co książki o tem pisali, więc też się to rozchodziło i w narodzie, i zewsząd wołać zaczęto, że odmiana jest potrzebna.

Król Ludwik Szesnasty, panujący wtedy, chciał szczerze złemu zaradzić, ale głowy na to nie miał, ani też i serca odważnego. Zaczął naprawiać i naprawił nie jedno, ale to jakoś nie wystarczało: w skarbie zwłaszcza pustki były, długi wielkie, podatków nie było już zkąd wycisnąć, bo je naprzód powybierali. W tym kłopocie doradzono królowi, żeby sejm zwołał, co była rzecz we Francyi niepraktykowana. Zjechali się posły z całego kraju i dopiero zaczęli wszystką biedę i wszystko złe na jawność wynosić; a miejscy osobliwie skargi rozwodzili na złe i niesprawiedliwe sądy, wołając, że tu mało o skarbie, albo o tém i o owém radzić, że naprawianiem nic się nie wskóra, a trzeba cały budynek rozebrać i całkiem na nowo przestawić, to jest, żeby dla wszystkich było jedno prawo i żeby bez dołożenia się sejmu nic nie stanowić. Zląkł się król i panowie i starsi duchowni; kazano się rozjechać sejmowi, ale już się naród w Paryżu burzyć zaczął i sejm słuchać nie chciał. Wojska przywołać—na to królowi ducha zabrakło, bo Paryż bardzo wielkie jest miasto, z dziesięć razy tyle co Warszawa, a możeby też wojsko i nie poszło na własny naród. Wiele zatém praw w tym roku 1789 sejm ów postanowił, które się narodowi bardzo podobały, jakoto: żeby ludzie wszelkiego stanu jednakie mieli do wszystkiego prawo, według zdatności i zasługi; żeby sprawiedliwość i sądy były też jednostajne; żeby grunta szlacheckie i duchowne zarówno podatek płaciły, toż domy i budynki w miastach; żeby wolny był każdemu zarobek, gdzie i jak chce; żeby do wojska wszyscy stawali bez różnicy stanu, i nareszcie, żeby sejm co rok się zjeżdżał i całego rządu pilnował, skarbu doglądał i rachunków słuchał, a król bez niego podatków nie nakładał i nic zgoła nie poczynał. Dziwna to rzecz była i niesłychana, we Francyi tak królewski urząd zmniejszyć; nieporządki się też z tego wszczęły, urzędy nie wiedziały kogo słuchać, a między ludem rozruchy straszne, że i dla samej już osoby królewskiéj poszanowania nie było; władza zgoła osłabła. Nie wiedząc co na to począć, umyślił król z Francyi całkiem wyjechać, ale go nie puszczono; owszem, na gorsze jeszcze wyszło: sejm wszystko wziął w ręce, już królewska wola nic wtedy nie znaczyła. Za namową złych radców, a zwłaszcza przez braci swych i wielu panów, co ze strachu za granicę powyjeżdżali, zażądał król Ludwik w sekrecie pomocy od Austryaka (a miał cesarską córkę za żonę) i od Prusaka i od innych monarchów, żeby go ratowali. To już ostatnia rzecz była, bo skoro się o tém słuchy rozniosły, krzyk wielki powstał, bunt w Paryżu straszny, że już i sejm nie mogł dać rady i musiał króla tronu pozbawić i z całą familją do więzienia wsadzić. Ogłoszono natomiast, że Francya nie będzie już więcéj królestwém, ale republiką czyli rzecząpospolitą z wolnym rządem. I tego było mało: zaczęły się w sejmie zwady wielkie, a w narodzie coraz gorsze rozjątrzenie i swawola po całym kraju; naród też jak się rozpuści i rozhuka, to gorzéj zwierzęcia miary w niczém nie zna. Rzucano się na starszyznę, na panów, na biskupów i księży i dużo tam tego poginęło, kto z kraju nie umknął; a ktory umknął, to mu wnet majątek zabierano; nie jeden wtedy pałac, a co najgorsza i nie jeden dom boży zuchwałe

pospólstwo zrabowało i zrujnowało. Aż i do tego przyszło, że zaczęto wołać, żeby króla sądzić; więc go i sądził sejm i po długich sporach dekret wydał na śmierć; zaczem i ścięto tego nieszczęśiiwego króla Ludwika, razem z żoną i z siostrą (w r. 1793).

Przerażenie było wielkie w świecie: wszystkie potencye, a osobliwie Austrya, umyśliły zaraz wojnę wielką z Francuzami zacząć, wszystko uśmierzyć i po staremu przywrócić; ale też i Francuzi wzajem się za to na wszystkich monarchów odgrażali i zawzięcie przysposobili się do tego, żeby na swojém postawić. Więc co tylko żyło leciało do wojska, moc ich zrobiła się straszna, szły krocie ludu zbrojnego na wszystkie strony, i nie czekając aż do nich nieprzyjaciel przyjdzie, sami za granicę wypadli i w lat kilka wszystkich pobili, kto się im tylko postawił, bo generałów zwłaszcza sławnych mieli. Zabrali tedy cesarzowi Austryackiemu Belgję i wiele innych Niemieckich krajów, zabrali i Holenderskie państwo i różne mniejsze księstwa, wypędzając zewsząd dawne rządy, ogłaszając swoje prawa równe dla wszystkich, zabierając królewskie i pańskie i duchowne majątki, i wszędzie też naród przeciwko dawnym władzom podburzając.

Tak się zrobiło i z Włochami. W ciągu lat trzech, to jest 1796, 1797 i 1798go, całą Italję Francuzi zagarnęli, rozbiwszy cztery armje austryackie jedną po drugiéj. Sardyńskie królestwo i Wenecka rzeczpospolita i księstwa wszystkie i wreszcie królestwo Neapolitańskie, wszystko to runęło; papież się tylko w Rzymie został, ale musiał cały swój kraj postradać. Gospodarowali Francuzi we Włoszech nie bardzo na naród zważając, bo go za nic nie mieli, jako był nie wojenny; ale ich też tam po dawnemu nie bardzo lubiono, zwłaszcza, że nakładali ciężkie podatki i kontrybucye i posługi różne, a kassy wszelkie i majątki zabierali co się dało, gdyż wielki był wciąż w saméj Francyi nieład i tyle wojsk nie było czém opłacić, to się też wszędzie żywiły i utrzymywały kosztem mieszkańców, gdzie przyszły. Prócz tego jeszcze generałowie ich i urzędnicy, władzy nad sobą żadnéj prawie nie czując, robili co chcieli w zawojowanym kraju, a wielu bogaciło się po prostu ze zdobyczy i zdzierstwa. Kiedy więc w następnym roku Austryacy z wielką siłą znów do wojny stanęli i jeszcze na pomoc mieli Rossyan, a i dowódzców lepszych tym razem, to się szczęście od Francuzów odwróciło, choć się i bronili dzielnie; lecz różne bitwy przegrawszy, a naprzykrzywszy się bardzo i miastom i wsiom, gdy żadnego od mieszkańców poparcia nie mieli, owszem złe wszędzie przeciw sobie umysły, musieli z Włoskiego kraju całkiem ustąpić, prędzéj jeszcze, niż się tam byli rozpostarli.

Byłoby się tak może i zostało i znów do starego wróciło, gdyby nie walna odmiana rzeczy, jaka właśnie zaraz potem we Francyi zaszła. Od ścięcia króla Ludwika nie było tam przez lat parę jednego dnia spokojnego. W sejmie różne partye i duchy, a która partya górę wzięła, to drugą okrutnie prześladowała, dekretując od razu na śmierć każdego, co się tylko inaczéj odezwał, albo choć tylko pozór jaki dał; zaburzenia po całym kraju i domowa wojna, to od tych, co za królewską władzą obstawali, to od tych, co innego sejmu chcieli, to wreszcie od tych, co z sejmem trzymali; a wszyscy jedni na drugich nie znali innego prawa i innéj kary, tylko zaraz ściąć głowę. Ustało wreszcie to okrucieństwo pod koniec 1794 roku, ale ładu i zgody i rządu dobrego nie było, a prześladowania wciąż trwały. Nareszcie, tak jak bywało niegdyś w starożytnym Rzymie, zjawił się generał znamienity, co go wojsko we wszystkiém słuchało: ten widząc, że w narodzie nie bardzo tak wielu przy sejmie stoi, że tymby się takiego rządzenia chciało, a drugim inakszego, że byli tacy, coby już i pod króla wrócić woleli, a nikt prawie kontent nie był, — otóż kazał wojskiem sejm rozpędzić i sam wszystką władzę na siebie wziąwszy, ogłosił się Francuzkim cesarzem, a imię mu było Napoleon. I tak się Francyi całéj rozruchy i niespokojności tyloletnie naprzykrzyły, że wszyscy téj nagłéj odmianie byli radzi, i choć się to bezprawiem i gwałtem stało, ale napatrzywszy się już gwałtów bez liku, to tam wtedy Francuzi nie wiele na to baczyli, byle tylko spokojność mieć i bezpieczeństwo.

Cesarz Napoleon mocną wnet rękę do rządów przyłożył: prawa, sądy, urzędy, podatki, skarb, wojsko, wszystko niebawem na lepszy ład poszło, wszystko się zaczęło porządkować, i to z pośpiechem niesłychanym; taka

tam była wola i taka groza w tym człowieku, iż ledwie rzekł, to się już robiło; w każdą rzecz wejrzał, o każdéj wiedział i znał się na wszystkiém; wciąż czynny, sam prawie że wytchnienia nie miał i nikt pod nim odpoczywać nie mógł. Naród był kontent, bo owe główne ustawy, co to pierwszy ów sejm zwołany za króla Ludwika w r. 1789 postanowił, zostały się od Napoleona nietykane: równość dla wszystkich została, tylko że już on sejmowi władzy nie dał, a sobie całą zabrał, prawie że bez ograniczenia, a słowa przeciwnego nikomu nie pozwolił. O to jakoś z początku nie troszczono się: widzieli, że dzielny a sprawny monarcha, to niech i rządzi, kiedy mu się tak wiedzie. I w saméj rzeczy wiodło się Napoleonowi: w pół roku niemal jużci Francya inaczéj wyglądała; z nieporządku i swawoli dostała się w twarde kluby; świat oczom swoim nie wierzył. A rzecz to taka, że jak ludzie w jedném zbytkować zaczną i pomiarkowanie stracą, to im się głowa zawróci; nie wiedzą potém jak utrafić i znów z rozpędu na drugi koniec zlecą. We wszystkiém na świecie miara jest potrzebna.

Kolonista.

(POWIEŚĆ).

—

W Augustowskiém, nieopodal dębowego lasu, leżała wieś oczynszowana, ciągnąca się wzdłuż drogi. Piękne i wygodne domki czynszowników stały w pewnych odstępach od siebie, poprzedzielane zielonemi ogródkami, a przy każdéj takiéj gospodzie była pasieka z licznych pniów składająca się. Na jednym końu wsi stał drewniany kościołek, z probostwem szykownie ustawioném, przy kwiecistym ogródku, a na drugim wznosiła się okryta liściem staréj lipy kapliczka, z obrazem Najświętszéj Panny. Od strony, gdzie owa kapliczka stała, na kraju wsi wznosił się dom na podmurowaniu, z pasieką i zielonym ogródkiem; był on własnością Jana Doli, młodego czynszownika, który przed pół rokiem dopiero, jako jedynak odziedziczył zamożną kolonię po zmarłych rodzicach, których cała wieś opłakiwała, tacy byli ludzcy i na biednych miłosierni. Lecz nie tylko kawał urodzajnego gruntu zostawili oni jedynakowi, ale jeszcze piękny dobytek i gotówkę w okutéj skrzyni. Bogaczem też zwano Janka Dolę; a że był kawalerem, wszystkie matki, co miały dorosłe córki, prosiły Boga o Janka dla nich, i nieraz kłóciły się z sobą w karczmie o niego.

— Moją sobie upodobał, nie waszą, mówiła raz podchmielona sołtysowa do wójtowéj, i dalejże w kłótnie, że aż sąsiady godzić musiały zwaśnione kobiety.

Tymczasem Jasio jak o sołtysowéj, tak i wójtowéj córce nie myślał, bo jedna była leniwa, a druga lubiła się stroić, muskać i wabić zalotnemi oczami młodzież ku sobie. Zresztą widać że bogacz nie trafił na swoją, co to Bóg sam naznacza i serce ku niéj skłania; żadnéj przeto we wsi nie kochał. Ale raz wyszedł z pługiem w pole, by zorać łan gruntu nieopodal leżący od kapliczki. Dzień był piękny, słońce zaledwie powstawszy wybiegło na czyste niebiosa pełnić dzienną służbę, ptastwo przebudzone świegotało ranne hymny na cześć Stwórcy wszystkiego stworzenia, i Dola zanucił pieśń: „Kiedy ranne wstają zorze,“ idąc za wołami i patrząc na ten świat piękny, jasny, śmiejący!.. I tak nucąc podszedł pod kapliczkę, przy któréj zastał siedzącego dziadka z siwą brodą, do którego zbliżywszy się rzekł:

— Niech będzie pochwalony! Co tu dziaduniu porabiacie? Jeżeli chcecie uprosić jałmużny, to tędy rzadko kto przechodzi; lepiéj usiądźcie pod wierzbą, wedle drogi. I to mówiąc podał trojaka mniemanemu żebrakowi.

— Dziękuję wam, odpowiedział stary, nie przyjmując datku.

— To wy nie żebrak, zapytał Dola.

— Żebrak i nie żebrak, odpowiedział stary; jestem kaleką, bo mam bezwładne nogi; wyzułem się z gospodarki na leki, i tak lat już sześć bieduję.

— A z czegóż żyjecie, kiedy jałmużną gardzicie? Macie zapewne jeszcze jakieś bogactwo.

— O mam ci mam i wielkie, odrzekł stary, bo mi Bóg dał dobrą córkę, która pielęgnuje starego ojca, nie daje mi żebrać, mówiąc, że póki jéj rąk i zdrowia starczy, chleba mi braknąć nie będzie.

— Czy zamężna? zapytał Jasio.

— Nie, odpowiedział stary.

— A gdzież ona? zagadnął Dola.

— Wózkiem, którym mnie wozi, pojechała po żywność do miasta. Boże błogosław ją! dodał stary wznosząc oczy do nieba.

— A gdzież mieszkacie? Chyba gdzie daleko, że ja was nie znam, pytał Jan, siadając przy dziadku.

— Mieszkałem ztąd, odpowiedział stary Jakób, trzy mile, we wsi Janówce, w staréj chałupie co pod lasem stała; ale gdy ją dziedzic rozebrać kazał, tom się sprowadził do téj, mówił daléj wskazując palcem na walące się domostwo, niedaleko od kapliczki stojące.

— Bójcież się Boga, krzyknął Jan, wszak ono lada dobry wiatr, to się zawali, a jeszcze ludzie głoszą, że tam straszy, bo w téj chałupie mieszkał wielki pijak, co się tu obwiesił upiwszy się, i pochowali go w pobliżu na rozstajnych drogach. Mówią że tu pokutuje, bo go anieli nie puścili do nieba.

— I, nie bajcie koszałek opałek, rzekł stary; ktoby to w strachy wierzył! Że go nie chcieli przyjąć do nieba, to co innego, bo co prawda, to że przed pijanicą drzwi niebieskie zamknięte; przecież zły duch, co miłośników gorzałki nie odstępuje na krok, musiał go zawieść nie do téj chałupy na pokutę, ale w miejsce naznaczone do odcierpienia kary. Strachy to tylko pokazują się tym, co w Boga nie wierzą, i nałogowcom, co zalawszy głowę trunkiem, dwoi im się w oczach.

— I ja nie wierzę, rzekł zawstydzony Jan, ale zawsze lepiéj mieszkać w pokomorném, jak w tém pustkowiu.

— Mieszkałem ja już i w pokomorném, odpowiedział stary, i nasłuchałem się przekleństw i złorzeczeń, że czasem trzeba było kalece usłużyć, lub posłuchać stękania.

Gdy tak rozmawiali, nadeszła Marta, córka Jakóba, ciągnąc obładowany wózek. Była ona wzrostu miernego, szczupła, twarzy śniadéj, trocha zeszpeconej ospą. Zapoznał się z nią niebawem Janek, a widząc zmęczoną, pomógł zaciągnąć wózek do chałupy, złożyć żywność i starego przywieść.

Od tego czasu, że Dola miał robotę w stronie opustoszałego domostwa, bo tam jego pola były, nawiedzał często Jakóba i w krótkim czasie upodobał sobie Martę. I dziewczę też nie było dla Janka obojętne; ale gdy pomyślała, że on bogacz, a ona uboga wyrobnica, smutek ją ogarnął, i nieraz z czarnego oka łza wybiegła, rosząc zbladłe jagody. Ale jakież było jéj zadziwienie, gdy raz w dzień świąteczny, przyszedł bogacz sam, bez swatów, bez wódki, która to często rozum weselnikom odbiera w najważniejszéj chwili, gdzie idzie o szczęście całego życia, a pocałowawszy starego w rękę rzekł:

— Przychodzę do was z wielką prośbą: dajcie mi waszą córkę za żonę, bom ją sobie wielce upodobał.

Marta na te słowa skraśniała jak wiśnia, i tak jéj bić mocno serce poczęło, że aż oddech tamowało.

— Czy wy żartujecie? pytał Jakób Dolę.

— Ależ jak mi Bóg miły nie żartuję, rzekł Jan.

— Jakże to będzie, zapytał stary, kiedy moja córka uboga, wyrobnica, co nie zarobi, to niema; brak jéj i przyodziewku i wesela bym nie miał za co sprawić.

— Nie turbujcie się o to, dajcie mi tylko waszą córkę, a wam i jéj zbywać na niczém nie będzie, bo mi zawsze nieboszczyk tatulo i matula mawiali, żebym, gdy sobie dziewczynę wybiorę, baczył pilnie na to, czy ona ojca i matkę szanuje. Wasza Marta widzę, że was kocha, otóż ja innéj nie chcę.

I tak od słowa do słowa, stary Jakób na koniec pobłogosławił młodą parę; na drugi dzień Jasio pojechał na jarmark do miasta, i cały wóz przywiózł sprawunków dla Marty. W tydzień potem gruchnęły zapowiedzie; gdy je wójtowa usłyszała zaćmiło się jéj w oczach, a sołtysowa wyszedłszy przed kościół, poczęła przed ludźmi wyśmiewać Jana, że bierze dziadowską córkę za żonę, a Martę ogadywać bezbożnie. Ale to wszystko na nic się nie przydało: bogacz się ożenił; wesele było sute, niepamiętano takiego we wsi. Starego Jakóba wziął zięć do siebie i jako o własnym pamiętał ojcu. W krótkim czasie po ślubie, Marta w całéj wsi zjednała sobie serca, taka była dobra, uczynna, pracowita, miłosierna, że ją zwano matką biednych. Wójtowa nawet mówiła, że podobnéj niewiasty drugiéj, jak żona bogacza nie ma na świecie; a sołtysowa wstydziła się słów nieoględnych, któremi osławiała przed ludźmi Martę, I Jasio ztąd opływał w dobra sławę i miał miłość u ludzi, bo jak pismo święte mówi: „Niewiasta wierna jest korona mężowi

swemu; kto znalazł dobrą żonę, skarb znalazł i wyczerpał pociechę od Pana.“ Ale krótko dobrego na świecie. W pięć lat po zamężciu zachorowała Marta na gorączkę, i choć Jan lekarzy nasprowadzał i Boga gorąco o zdrowie ukochanéj prosił, umarła. Po jéj zgonie, Dola choć religijny i pobożny, tak rozpaczał, że ludzie mysleli że zwarjuje. Siedział tylko na cmentarzu, zaniedbawszy gospodarkę, lub samotny w domu, bo i stary Jakób na rok przed śmiercią córki legł w mogile, a dziatek Bóg mu nie dał. Cała też wieś żałowała Marty.

Tak upłynęło lat kilka; nareszcie ów czas, co zmienia wszystko na świecie, żelazo kruszy, mury rozwala, boleści skutecznie leczy, i Jasiowi przyniósł ulgę, że w lat pięć po śmierci żony, gdy go ludzie swatać i namawiać poczęli, ożenił się z gospodarską córką. Basia była wprawdzie piękna, bogata, ale złośnica, skąpa, chciwa, łakoma; ztąd swary między sąsiadami o byle co, Basi w całéj wsi niecierpiano, a raz gdy sąsiad przebił nogę jéj wieprzakowi, że wlazł mu w szkodę, gdy go jadąc na drugi dzień z miasta z mężem, spotkała wracającego z pola, poczęła go łajać i w szalonym gniewie zeskoczywszy z fury rwać się do bicia. Gdy niespodziewanie napadnięty Mateusz broniąc się silnie, odtrącił kobietę, tak że upadła na ziemię, uniesiony gniewem Jan, gdy nań żona zakrzyczała obelżywie, że ją daje poniewierać, przyskoczywszy do Mateusza, tak go nieszczęśliwie uderzył, że zabił na miejscu. Biedny człowiek ujrzawszy, że stał się zabójcą, strasznie desperować począł i złorzeczyć żonie, która z obawy, by kto nie nadszedł lub nie nadjechał, co prędzéj trupa zaciągnęła do pobliskich krzaków. Wrócono do domu; bogacz odtąd nie sypiał po nocach, chodził jak warjat, na żonę patrzać nie mógł. W dni kilka znaleziono ciało Mateusza, a lamenty żony jego i dzieci, w taką Jana wprawiły rozpacz, że chciał sobie życie odebrać.

W takich mękach rok upłynął, gdy się rozeszła wieść, że wynaleziono mordercę, i że nim jest czynszownik z sąsiedniéj wsi, u którego żona zabitego poznała chustkę męża na szyi. Obwiniony tłómaczył się, że ją na drodze wracając z miasta znalazł, co było rzeczywistą prawdą, bo Basia kryjąc trupa w krzaki i uježdżając z miejsca zabójstwa, nie dojrzała chustki leżącéj na drodze. Dowiedziawszy się Jan o tém, że uwięziono niewinnie ojca licznéj rodziny, oddał się sam w ręce sprawiedliwości, i osadzony w więzieniu, dręczony wyrzutami sumienia i wstydem, w rok tamże umarł.

Ztąd widzimy, że sława i niesława męża, bywa nieraz w ręku żony. Marta koroną była Jasiowi, Basia niepowściągliwa w gniewie, otworzyła mu drzwi więzienia, okryła hańbą!

NAUKA ZACHOWANIA ZDROWIA.

O ratowaniu ludzi zmarzłych.

—

Zimą często zdarzają się wypadki zmarznięcia. W podróży, biedni a źle ubrani ludzie, nie mogąc w czasie silnych mrozów zdążyć do ciepłéj chaty, siadają dla odpoczynku na drodze i tam kończą życie; dzieci, w złém przyodziewku, nieopatrznie przez rodziców wypuszczone w pole, nieraz także marzną. Najczęściéj jednak pijani, stają się ofiarami śmierci od mrozu. Nieprzytomni, padają w rów lub na drodze i leżą tam, dopóki ich kto niespostrzeże; ale ponieważ mało kto umie dać skuteczny ratunek, więc i umierają. A jednak nieraz taki, co wydaje się umarłym od zimna, jest tylko pozornie martwym i ma w sobie życie, tylko trzeba umieć je wydobyć, trzeba wiedzieć jak go ratować. Otóż podam wam skuteczny i dawno praktykowany sposób ratowania zmarzłych. Przeczytajcie z uwagą i spamiętajcie ten sposób, żebyście potém, gdy kto zażąda waszéj rady, wiedzieli jak ją dać i jak ratować. Jeżeli zobaczycie zmarzłego w polu człowieka, najsamprzód postarajcie się go umieścić w izbie mało ogrzanéj. Gorąco w izbie szkodliwe jest dla chorego, świeże zaś powietrze jest koniecznie potrzebne, więc też dobrze jest drzwi i okna uchylić i świeżego powietrza do izby wpuścić. Potém ciało stężałe kładzie się w miejscu chłodném, tak ażeby głowa cokolwiek wyżéj od reszty ciała leżała, zwłóczy się je co duchu z wszelkiéj odzieży, a przyniósłszy w korycie śniegu, potrzeba nim zmarzłe ciało obłożyć przynajmniéj na dwie dłonie grubości. Twarz należy zwolna a nieustannie śniegiem pocierać, toż samo i kark. Skoro śnieg naokół cia-

ła obłożony, topnieć zacznie, wtedy znów świeżym śniegiem obkładać należy. Gdyby śniegu nie było, można zmarzłego włożyć w zimną wodę, w którą dobrze jest wpuścić kawały lodu. Gdy ciało odtaja, to jest mięknąć zaczyna, okrywa się je lodem, a gdy lód już topnieć zacznie, jest nadzieja i znak dobry, że w zmarzłym człowieku, ciepło wewnętrzne i życie jeszcze się znajduje. Potém dopiero ciało osuszyć należy i zanieść je do cokolwiek tylko ogrzanego łóżka. Po odbytéj kąpieli, albo też i bez niéj, trzeba całe ciało, a głównie podeszwy pocierać wełnianemi lub sukiennemi szmatami i szczotkami, zachowując ciało podczas téj roboty pod ciepłemi kocami, sukmanami i kożuchami. Wpuszczanie rurką powietrza przez usta do wnętrzności, powtarzać potrzeba i tém skrzętniéj to się powtarza, im bardziéj się spostrzega, że pierś podnosić się zaczyna. Dobrze też jest dać enemę z tytoniu, albo też z ciepłéj wody z roz puszczoną solą. Skoro tym sposobem nieszczęśliwy wróci do życia, nie trzeba mu broń Boże dawać gorących trunków, tylko ziółka lipowe, a trzymać go ciągle w ciepłych szmatach.

Jeżeli kto zmarzłego zaraz do wielkiego ciepła przeniesie, zabije go natychmiast. Jeżeli kto policzek, nogę, palec, lub jaki inny członek ciała odmrozi, nie trzeba go zbliżać do ognia, lub do gorącego pieca przytykać, gdyż natenczas pozostałby już ten członek na zawsze chorym lub martwym, który gnijąc odjętym byćby musiał od ciała. Rozgrzanie ciała powinno zawsze zwolna odbywać się, a ciepło głównie z wewnątrz człowieka wydobywać się.

W ten sposób postępując, nie jednego co się już wydaje zupełnie zmarzłym, można od śmierci uratować i przywrócić do życia. Nieoględność ludzka staje się najczęściéj przyczyną choroby, a nie umiejętność radzenia sobie i ratowania, jest przyczyną śmierci. Lepiéj jest, gdy się wychodzi na zimno dobrze się ubrać, na mrózie nie siadać i nie odpoczywać, być ciągle w ruchu i na zmarznięcie nie narażać się, ale gdy się już zdarzy komu przypadek zmarznięcia, to niechajże z nim tak postępują, jak oto tu napisałem, a będzie można, jeżeli już ostatniego tchnienia nie wydał, do życia zmarzłego przyprowadzić.

Różności.

—

Na Białéj Rusi, w gubernii Mohilewskiéj, nieopodal stacyi pocztowéj Łokucie, we wsi Faszówce, wznosi się stara, wspaniała, a dziś podupadła świątynia. Ubodzy włościanie katoliccy w téj parafii, nie mogli swoim kosztem zrestaurować pięknego kościoła; wystarali się więc o upoważnienie władz, do zbierania po całym kraju składki, z któremi każdy dbający o chwałę Bożą, pomiędzy braćmi Biało Rusinami, pośpieszyć powinien, składając je na ręce pani Bęklewskiéj.

— Miło jest dla serca pisać i podawać na dobrą sławę u ludzi nazwiska tych osób i tych gromad, które przekonały się, że bez oświaty szczęśliwym być nie można i nie żałują grosza na szkółki, na kupienie książek, jedném słowem na oświecenie siebie i dzieci swoich. Coraz więcéj mamy rozumnych ludzi, bo oto, dowiadujemy się znowu, że w Proszewie pod Siedlcami, sołtys Łukasz Rybak, prosił we dworze, aby zaprenumerowali dwa exemplarze pisma ludowego w Warszawie, jeden dla jego syna, a drugi dla gromady. We wsi zaś Iganie, także pod Siedlcami, gromada prosiła dworu o założenie wiejskiéj szkółki i złożyła na koszta 300 złp.

— W Redakcyi Czytelni panie W. L. P. H. i K. złożyły obrazki i medaliki święte i książki elementarne do przesłania ochronce w Irkucku. Na ten sam cel pani hrabina Ledóchowska złożyła rs. 10.

— Na kościół w Faszówce, Redakcya Czytelni odebrała od p. G. G. rs. 1 i od p. A. G. rs. 1.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80—półrocznie kop. 90—kwartalnie kop. 45—miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie
Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra.— Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.— Warszawa dnia 9 Lutego 1862 roku.